ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 14 Lutego 1914 roku № 7.

Andrzej Strug.

„Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

7

Powieść z obcego życia.

Miss Slazenger porywczo wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Porwała ją złość. Nie znosiła niedołęstwa i łez. Ubóstwiała wolę, energię, poryw, zapamiętanie. Już miała na ustach szyderstwo.

Chodziła milcząc, chcąc się pohamować i nie zranić złem słowem przyjaciółki.

— Ada! To już ostatni czas, ażeby coś postanowić. Już straciłam wszelką cierpliwość. Tak albo inaczej. Nie wypuszczę cię stąd, zanim się nie porozumiemy!

— Zlituj się, Lucy! Jutro — kiedy wypocznę po podróży. Jestem tak zmęczona...

— Nie możesz być zmęczona. Nas wożą wygodnie. Masz, napij się whisky z wodą. Zapal papierosa. Patrz mi prosto w oczy! Myśl! Mów!

Obie paliły w milczeniu. Lucy przyglądała się przyjaciółce bacznie i surowo. Ada wydała jej się odmienioną. Zawsze jeszcze była to „najpiękniejsza kobieta zachodu", jak ją nazywały pisma, ale ciemne piętna naokoło czarnych oczu rozszerzyły się znacznie, usta miały wyraz wyczerpania, przepiękne ręce w ustawicznym niepokoju... Spojrzenie chore i płochliwe...

— Czemu nie chcesz na mnie patrzeć, Ado? Coś ty przedemną ukrywasz.

— O, nie! Lecz od pewnego czasu sprawia mi to wielką przykrość, kiedy mi kto patrzy prosto w oczy. Nie lubię tego. Nie męcz mnie przynajmniej ty, Lucy!

Ale dziewczyna nie spuszczała z niej badawczego spojrzenia. Lady Hartley wiła się pod tem spojrzeniem, wydzierała się, błądziła oczyma po pokoju i musiała wracać znowu pod jego moc, jak spętana. Ręce jej błądziły, chwytały coś, puszczały, wreszcie palce zczepiły się, aż trzasło w stawach. Z oczu już płynęły łzy.

— Ada, mów wszystko!

Był to potok wyrzekań, stłumionych okrzyków, łez. Z twarzą, zasłoniętą szczelnie rękoma, dygocąca ze wstydu, opowiadała swoje nieszczęsne dzieje.

Otoczona jest wrogami, podstępnymi przyjaciółmi, wszędzie zdrada. Wciąż otrzymuje listy ostrzegające. Mąż zjawia się z za świata i grozi. Ach, jak on z niej szydzi! Nigdy jej nie kochał. I te pragnienia, wieczne, nienasycone. Od trzech lat dręczy się w samotności. Wszędzie pokusy! Leczy się ustawicznie. Zabiegi hydropatyczne, pigułki, hypnoza. Jeszcze gorzej! Od miesiąca zażywa raz na dzień środek, przepisany przez jej lekarza,— ale tym razem wymagał od niej tajemnicy — nie wie, dlaczego. Nędzny proszek upaja, rozpala, łudzi, obiecuje tyle, ach, tyle!... Na parę minut jest szczęśliwą, wniebowzięta—chwyta ją, jak na skrzydła, najwyższe ukojenie, jakaś rozkosz, i nagle — kończy się wszystko okropnym zawodem, przygnębieniem, poniżeniem takiem ohydnem... Jest chora, ciężko chora. Gardzi sobą, nienawidzi całego świata. Gdybyż miała siłę zabić się!... Jest w niewoli, w strasznej, poniżającej niewoli. Tamten dręczy ją zza grobu. Nic jej nie wolno!

Lucy słuchała uważnie. Zdrowa, silna dziewczyna, Lucy przenosiła jeszcze tęgiego „hunter'a" lub wyczerpującą wspinaczkę górską, polowanie lub regaty jachtów na pełnem morzu nad owe rozkosze miłości, o których tyle się naczytała i nasłuchała. Rojami otaczających ją chłopców bawiła się z zupełnie zimną krwią. Ich westchnienia i rozkochane spojrzenia śmieszyły ją jeszcze. Nie mogła zgłębić cierpień Ady. Było to dla niej śmieszne, nieco wstrętne.

Teraz jednak widziała wyraźnie, że Ada ginie. Niknie w niej wszystko, co było kiedyś drogiem, miłem — została tylko ciężka choroba. Porwał ją żal niewymowny.

Uklękła przy przyjaciółce, odjęła jej łagodnie ręce, osłaniające twarz, otarła łzy i, trzymając w swych mocnych rękach dygocące dłonie Ady, szeptała, czując, że oblewa ją rumieniec wstydu.

— Słuchaj! Jeżeli już nie możesz... Ja tego nie pojmuję, ale jeżeli już nie możesz zupełnie, zupełnie... Ada! Oszukaj ich! Gdzieś w ukryciu, w najgłębszej tajemnicy... Czy ja wiem?... Zrób co... Nie licz się już z niczem... To straszne i okropne, ale już niema innego wyjścia. Ileż kobiet tak robi, choć mężowie żyją! Przecie musi ci się któryś najbardziej podobać? Dżentelmen, człowiek honoru, najzupełniej zaufany człowiek...

Ada porwała się z przerażeniem.

— Nie! O, nie! Milcz, Lucy... Milcz i zapomnij, coś powiedziała! I już nigdy, nigdy nic podobnego! Dziecko jesteś, o niczem nie masz pojęcia. Jak podli, jak chytrzy są ludzie!... Jak jestem otoczona, opasana, związana. Dość! Mówmy o czem innem. Ściany mają uszy.

— W moim domu ściany nie mają uszu! — oburzyła się Lucy. — Czy i mnie już przestałeś wierzyć?

I pomyślała z przygnębieniem: Oprócz wszystkiego tamtego jeszcze mania prześladowcza. Zachmurzyło się wszystko przed jej jasnemi, wesołemi oczami. Ileż obrzydliwości na świecie!

Zastukano do drzwi, wtoczył się gruby, jak miech, papa Slazenger a za nim śliczna, wysoka i wysmukła dziewczyna z obciętemi włosami.

— Lucy, przedstawiam ci pan-

BIBLIOTEKA K.U.L.

nę hrabiankę de Colardeau, moją nową, najsympatyczniejszą na świecie towarzyszkę. Chciałbym, żebyście się polubiły.

— Bardzo mi miło! — rzekła uprzejmie Lucy, ściskając mocno podaną sobie dłoń. — Jakaż pani mocna! Podaje pani rękę prawdziwie po amerykańsku.

— Bardzo polubiłam zwyczaje amerykańskie, — odrzekła młoda panna, kaleczące nieco angielszczyznę. — Tylko jeszcze okropnie wymawiam...

— Wymawia pani najpiękniej. Niech pani nigdy nie mówi inaczej! — zawołał papa Slazenger.

— Oho! Papa już zakochany!

— A tak! Nic podobnego jeszcze nie spotkałem w życiu. Gdybym to miał taką córkę.

— Dziękuję ojcu.

— Lucy, przyszli przewodnicy. Mówią, że jutro pogoda. Zamówiłem sześciu. Idziesz?

— Idę. Ale sześciu, papo, to zamało. Córka wielkiego Slazengera, króla wszelkiej miedzi na kuli ziemskiej, musi mieć przynajmniej piętnastu.

— Ależ moja droga, może się coś stać, możesz zachorować, lawina, nagła niepogoda, pioruny...

— Niech ojciec zamówi batalion strzelców alpejskich, lekarzy, saperów z przenośnym piorunochronem.

— Lucy, tylko z górami nie żartuj!

— Ach, ty mój miły grubasie! Pójdę z jednym, no, mogę wziąć tragarza. Tak, jak wszyscy.

— Ale pozwolisz, że choć zdaleka...

— Papo! Już mnie ośmieszyłeś przed wszystkimi alpinistami. Co opowiadają ci waryaci Lyttonowie? Możesz sobie wysyłać przedemną czy za mną idyotyczne wyprawy, opiekuńcze czy ratunkowe, ale niech się pilnują, żebym ich nigdzie na oczy nie widziała! Mówię seryo! Jak zobaczę, będę na nich spychała kamienie! Że też ty mi musisz zatruwać każdą rozrywkę! Na głupi Breithorn takie ostrożności.

— Już ci obiecuję na ten raz, że nikogo nie poślę, tylko mi przysięgnij uroczyście przy lady Hartley, że tym razem...

— Cóż to za nudny człowiek. A szkoda, bo dość sympatyczny. Niczego ci tu nie będę przysięgała! Daj przewodnikowi pięćdziesiąt razy tyle, co mu się należy, to ci ulży. A on właśnie z nadmiaru radości będzie źle prowadził i spadnie i mnie zrzuci. Dosyć tego, jutro idę na noc do Theodulhütte.

Z „Astoria palace" wybierał się nazajutrz, i również na Breithorn, młody markiz de Chappedelaine. Szedł osobno, ale w drodze się połączą. Gustaw był pewien efektu. Po górach już chodził nieraz. Nikt na świecie nie miał takiego, jak on, kostyumu i wyekwipowania alpejskiego. Na swoje nieszczęście, chcąc być niegorszym od amerykanów, zamówił dwóch przewodników i trzech tragarzy.

Lyttonowie również nazajutrz szli na Matterhorn po swój blok pamiątkowy. Exodus ten zaraził innych gości. Każdy się kędyś wybierał, bodaj na Görnergrat koleją.

Nawet apatyczna i zmęczona lady Hartley zapragnęła czegoś dokonać. Ale bliższe spacery w okolicach Zermatt już znała. Na większą wyprawę nie odważała się. Patrzyła z goryczą na żywych i żyjących ludzi, którzy bawili się, cieszyli się, korzystali z darów słońca i z cudnej wokoło ziemi, zazdrościła tym, co się śmieją, mówią tak głośno, poruszają się tak żwawo.

Pożegnała się z Lucy, życząc jej szczęśliwej drogi, i poszła do swoich apartamentów, przybranych na jej powitanie w kwiaty i w girlandy z gałęzi alpejskiej choiny.

Rozstała się ze swoją damą do towarzystwa i pogrążyła się w samotności. Uczuła, jak fale tej samotności ogarnęły ją, jak nieznośnie zimna kąpiel, z chwilą, gdy panna de Colardeau przymknęła drzwi. Jest sama. Należy coś myśleć, coś czynić. Spać nie chciało się jej zupełnie.

— Co robić?

A nuda wypełzała już ze wszystkich kątów, zlewała się w gruby pokład jakby gęstej smoły i spływała ku niej leniwie. Za chwilę uczuje omdlałość w rękach i nogach, bezwład w myślach, ciężar w głowie. I zaczną przepływać poczwarne obrazy i będzie spoczywała w odrętwieniu, wpatrzona w nie obłąkanym wzrokiem.

Na końcu zjawi się on, niegdyś kochany, oddawna znienawidzony i przeklęty. Wyrośnie z białej ściany z szyderstwem na trupiej twarzy, będzie stał długo, nieruchomie wpatrzony, a potem swoim dawnym gestem wsunie ręce głęboko w kieszenie. Zadźwięczy złoto i będzie dzwoniło, dzwoniło...

Uśnie na chwilę. Zbudzi ją, jak dotknięcie płomienia, czyjś piekielny pocałunek. Zerwie się i wyciągnie w pustą przestrzeń rozgorzałe ramiona. Wołać będzie zduszonym szeptem i będzie się miotać po pustem łożu, i będzie w tej chwili gotowa na wszystko, na wszystko, z byle kim, z pierwszym-lepszym, z własnym lokajem, z murzynem...

Ożyją, zaroją się, jakby na jawie, potworne obrazy obnażonego bezwstydu. Co kiedykolwiek wyczytała w romansach francuskich, skupywanych chyłkiem w tych ostatnich najgorszych czasach, publikacyach sekretnych, pełnych zwyrodniałej wyobraźni i trudnego do wiary wyuzdania, gdzie obnażone zostało wszystko i odarte ze czci i świętości, z szatańskiem wyrafinowaniem, z zapamiętaniem obłędu...

Wszystko runie na nią.

Pamięta siebie, szczęśliwą i najpiękniejszą, wierną żoną, pełną radości i upojenia niespodziewanem bogactwem, które wyniosło ją, córkę prostego dyrektora kopalni, na zawrotne wyżyny.

Była kochającą żoną, skromną, niewinną kobietą. On z niej zrobił tajną, samotną rozpustnicę, zawsze rozognioną, nigdy niesytą. Jego widmo zagradzało przed nią życie całe. Z za muru złotych cegieł nie widać było nic! Jak zamknięta w złotej ciężkiej skrzyni męczy się i dusi bez powietrza. On wiedział dobrze, że nie starczy jej sił, by rozwalić złotą, opasującą ją twierdzę. On znał niezwalczoną potęgę bogactwa. Kto go raz zakosztuje, nie oderwie się, choćby się truł, choćby umierał...

O, przekleństwo!

Pukanie. Wyraźne a ciche, jak szept. Któżby śmiał o tej porze?

Zerwała się. W progu zza złotawej kotary, przysłaniającej drzwi, ukazała się panna de Colardeau-Mariette w szarym peniuarze. Lady Hartley nie widziała jej jeszcze nigdy w negliżu. Była jakby odmieniona i dziwna. Włosy odrzucone w tył czyniły ją podobną do najcudniejszego na świecie chłopca.

— Wydało mi się, że pani czuje się dzisiaj wyjątkowo niedobrze... Przepraszam, że przybywam niewołana. Ale czasami, doprawdy, niewolno się liczyć z etykietą... Jabym tak pragnęła...

— Ach, owszem, Marietto! Chodź! Dobra jesteś dla mnie bardzo. Istotnie źle się czuję. Bardzo źle. Zupełnie wyjątkowo jestem rozdrażniona. Może co poczytamy?

— Właśnie. Z Paryża już zdążyła za nami paczka nowości. Przerzucałam to i owo i natrafiłam na przedziwną książkę. Zabrałam ją ze sobą...

— Siadajże i czytaj. Jakże cudownie wyglądasz w tym peniuarze, Mariette...

V.

Pani Slazenger-matka prześladowała swemi natarczywemi grzecznościami starą markizę de Chappedelaine. Panowie chodzili jeszcze koło siebie obco i nieufnie, wymijali się z lodowatą uprzejmością, ale obie panie zbliżyły się, rzec można, prawie się zaprzyjaźniły.

Stara markiza robiła jeszcze miny, cedziła słowa i oblewała poczciwą królowę miedzi strumieniami arystokratycznej wyniosłości, przerażała ją swemi królewskiemi manierami. Markiza mówiła po angielsku miernie, ale ponieważ pani Slazenger prócz rodowitego nie znała żadnego języka, więc wysilała się, jak mogła, by przelać w obcy barbarzyński język cały czar swej wyższości i okazać parweniuszce to, co należało okazać w podobnych okolicznościach.

Okoliczności te już się niejako zapowiadały. Amerykanie całym dworem zjeżdżali na zimę do Paryża. Wynajęto już dla nich pałacyk na Polach Elizejskich i dom dla słu-

żby oraz dla urzędników trusta Slazengerowskiego, których szef musiał mieć pod ręką w ciągu sezonu zimowego.

Z Gustawem rodzice nie mówili jeszcze ani słowa. Pomiędzy sobą również. Powzdychiwali tylko oboje, a, układając się do spoczynku — była to u nich godzina najpoufniejszych zwierzeń—wymieniali od niechcenia, ale z powagą najogólniejsze sentencye, pełne mądrości życia i zgody z drogami Opatrzności.

Markiz był już podbity i niejako zmiażdżony. Markiz, obracający się w życiu w najwyższych sferach towarzyskich, nigdy nie otarł się jeszcze tak zblizka o podobnych ludzi. Tu dopiero uczuł własną nicość. Punkt zwrotny od wielkopańskiej pogardy do tajnego, pełnego nienawiści uwielbienia dla kolosalnej fortuny zaczął się, rzecz dziwna, od błahej rozmowy, prowadzonej przelotnie ze Slazengerem. Widząc go raz czerwonego i sapiącego z gniewu, markiz spytał grzecznie, czy nie wydarzyło mu się tego dnia coś przykrego.

— Jakże nie! Ten głupiec John zapomniał zabrać większego zapasu cygar. Zapomniał! Mają nadejść dopiero za tydzień. A co ja tu będę robił? Zapomniał! Płacę mu... a on sobie zapomniał!

Markiz ubolewał, a nawet zaproponował swoje, które miały być najlepsze na kontynencie. Ale cyfra pensyi rocznej kamerdynera Johna wbiła mu się w głowę, jak ćwiek. Chodził z tą cyfrą przez cały dzień. Tą sumą jakgdyby zmierzył cały ogrom zjawiska.

Markiz pracowników swoich opłacał uczciwie i zapewne hojniej, niż inni, a jednak... Coś w rodzaju nie wstydu, lecz uczucia dziwnego przygnębienia ogarnęło go, kiedy porównał z tą amerykańską płacą pensye swoich dyrektorów różnych przedsiębiorstw, administratorów dóbr. Ale nawet główny plenipotent, pan de Poitevin — ach, gdyby on wiedział!...

— Nie! To już jest rozpasanie! To obłęd! Tyle nie może płacić żaden monarcha!

I dziwnie mu jakoś zmaleli monarchowie.

Książę Pugliesi-Conti był nieubłagany. Temu nic nie imponowało. Nawet lady Hartley, nawet słynny naszyjnik z pereł panny Slazenger, wartości czterech milionów, który również był tu na miejscu w „Astoria-Palace", choć go tu jeszcze nikt nie widział. Nawet cynizm van Joerga, który jawnie drwił sobie z praw boskich i ludzkich.

— To są chamy, istoty bez zasad i bez Boga, z któremi my nic wspólnego nie mamy. Na szczęście, u nas, w starej kulturze, nie wszystko jeszcze znaczy pieniądz!

Markiz przytakiwał mu, ale czuł się zawiedziony. Miał bowiem księcia za człowieka bardziej inteligentnego.

— Wszystko to prawda! [illegible] go stara, jak świat. Ale nie [illegible] nie przyznać... Ale trzeba by [illegible] pym, żeby nie widzieć... Chod[illegible] bodaj tego, że taka służba hotelow[illegible] zapomina poprostu o nas. Zaniedb[illegible] ją nas w skandaliczny sposób a [illegible] tamtych. Oni tu pierwsi.

W Zermatt przyjezdni nie popasają długo. Popatrzą na Matterhorn w pogodę, nawykrzykują: ach! Splendid! Charmant! Wunderschön! zacytują sir Ruskina, porozsyłają pocztówki z widokiem szczytu, zakupią pewną ilość miejscowych pamiątek, wyrobów z drzewa, i jadą dalej do Interlaken, do Grindelwaldu, do St. Moritz, na jeziora włoskie.

Markiz z rodziną powinni byli już o tej porze być w Aix-les Bains, ale bez żadnego porozumienia wzajemnego pozostali na czas bliżej nieokreślony.

Markiz zżywał się z nową ideą, w ciągu paru dni pogodził się nawet z pobytem pod jednym dachem z takim van Joergem. Zasady pozostały zasadami, moralność rodowa i rasowa de Chappedelaine'ów była w nim dawnej mocy, jednak przyszedł do przekonania, że zjawisk tych nie można było brać na zwyczajną ludzką miarę. Książę Pugliesi Conti trząsł się z oburzenia. Trząsł się tak daleko, że pewnego dnia przywołał do siebie dyrektora zakładu i zażądał wprost wypowiedzenia gościny van Joergowi.

DCN.

KAZIMIERZ TETMAJER.

Na moczarach.

Przeklęty szary życia dzień — —
jakby szedł człowiek przez moczary,
a za nim wlókł się jego cień
w zmroczy przednocnej, w pustce szarej...

W jedno się tylko zlewa myśl:
w uwagę, by nie chybić kroku,
nie runąć w otchłań, kędy lśni
złym blaskiem mętna woda w mroku.

W jedno się tylko zlewa myśl
i wszystko inne w mózgu płoszy —
być może: sto gwiazd błysłoby
z mózgu wśród wolnych tchnień rozkoszy...

być może: sto gwiazd błysłoby
z mózgu, jak ognia złote żary,
gdybyś przez wązką, grzązką perć
nie szedł pielgrzymem przez moczary.

Być może: sto gwiazd błysłoby
jako stalowe mocnych pręty
z rąk — — które drżące, chwiejne z bar[illegible]
wagę chwytają nad odmęty...

Przeklęty szary życia dzień!
Wokoło pustka, zmrok, moczary,
i wlecze się za sobą cień
i widzi się — — to widmo mary...

On się pamięcią pnie do ócz:
czem jesteś, gdzieś jest, w jakiej drodze —
że cały duch zmęczony tkwi
w niepewnej, drżącej, chwiejnej nodze...

On ci wydłuża własny kształt
i pokazuje ci wyraźnie
twój na moczarach chwiejny chód
i całą twego życia kaźnię.

Napróżno ważysz, czyli bieg
szalony mąk tych nie oszczędzi — —
nie idziesz nigdzie; to jest chód
przez mocarzyska bez krawędzi...

Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XIII.

Alma dotrzymała słowa. Wprawdzie opieka jej polegała głównie na tem, że, nie wiem, dlaczego, nazywała mnie Maryą Małgorzatą, że prowadzała mnie ze sobą po ogrodzie w czasie rekreacyi, niby pokojowego pieska, i że na mojem łóżku urządzała nocne pogawędki z koleżankami, co surowo było wzbronione.

Ale tajemniczość tych zebrań miała dla mnie urok ogromny, a przytem pochlebiało mi to przypuszczenie mnie do grona o tyle starszych odemnie dziewcząt. Przeważnie one paplały, a ja słuchałam; rej jednak, oczywiście, wodziła Alma, opowiadając nam o swych przejażdżkach z matką po ogrodach Borghese, gdzie widywała królewską parę, lub na Pincio, gdzie miejska orkiestra grywała w altanie, a panie siedziały w powozach, zamieniając ukłony i uśmiechy z oficerami w błękitnych mundurach. To znów zwierzała się ze swoich zamiarów na przyszłość, kiedy to będzie stroiła się w najpiękniejsze suknie, a jeżeli wyjdzie za mąż (co do czego nie była jeszcze zdecydowana), to w każdym razie nie za amerykanina, lecz za francuza z arystokratycznego rodu, lub anglika, o ile będzie członkiem Izby Lordów, by mogła bywać na dworskich przyjęciach i wyścigach, dostępnych jedynie dla śmietanki towarzystwa. Innym razem opowiadała nam treść romansów, które cichaczem przemycała jej jedna z praczek klasztornych, romansów pięknych pań i ich kochanków, pełnych upajających marzeń i pocałunków, przyczem starsze dziewczęta, już poczęści zdające sobie sprawę z miłosnych tajemnic, chichotały, dorzucając swoje uwagi. Alma zaś mawiała wtedy:

— Cicho, dziewczęta, cicho, bo zgorszycie Maryę Małgorzatę.

Bywało, że z drugiego końca sypialni odzywał się czasem głos Mildred, która, unosząc głowę z poduszki, mówiła:

— Almo Lier, powinnaś się wstydzić, że nie dajesz spać temu dziecku i psujesz je swoją bezecną paplaniną.

Na to Alma odpowiadała szyderczo:

— Doprawdy, Wielebna Matko Mildred? — a wszystkie dziewczęta wybuchały śmiechem i były głęboko przekonane, że Mildred poniosła porażkę.

I tak płynęły tygodnie za tygodniami; zbliżyły się święta Bożego Narodzenia, a wraz z niemi oczekiwanie obiecanego wyjazdu do domu. Niestety, na kilka dni przed wigilią Wielebna Matka oznajmiła mi, że otrzymała list od Ojca Dana, donoszący, iż z rozmaitych przyczyn nie może po mnie przyjechać i że mam spędzić święta w klasztorze. Okrutny to był zawód, tem okrutniejszy, że pierwszy w życiu. Jakoż, gdy następne święta przyniosły takie same rozczarowanie, już odczułam je mniej, aż wreszcie pogodziłam się zupełnie z moim losem. A przecież kochałam głęboko moją matkę i tęskniłam do niej, lecz listy jej łagodziły to uczucie: ona bowiem nie skarżyła się nigdy na tę przedłużającą się rozłąkę ze mną, zapewniając, iż ta rozłąka skończy się niebawem i potem będziemy już zawsze razem.

Nie rozumiałam ukrytego znaczenia tych słów i zwolna wspomnienie rodzicielskiego domu bladło w oddaleniu, jak niegdyś wyspa sama, gdyśmy się puścili z Jurkiem w naszą morską podróż eksploracyjną do skały Panny Maryi.

I tak upłynęło półtora roku mego pobytu w klasztorze.

Nadszedł Wielki Tydzień, epoka największych uroczystości kościelnych, dla mnie o tyle jeszcze ważniejszych, że wtedy właśnie odbyłam moją pierwszą spowiedź, a w dzień Wielkiejnocy miałam przystąpić do Komunii i wraz z innemi dziewczętami w bieli udać się procesyonalnie do kościoła, śpiewając „*Ave Maris Stella*", otrzymać tam Przenajświętszy Sakrament z rąk jednego z kardynałów. Z bijącem sercem, cała przejęta religijną ekstazą, oczekiwałam tej wielkiej chwili, lecz losy zrządziły inaczej.

W Wielką Środę, ledwo się obudziłam, Matka Nowicyuszek przyszła do mego łóżka i rzekła:

— Masz iść jaknajprędzej do Wielebnej Matki, moje dziecko.

Jej głos, zazwyczaj surowy, był tak miękki, iż domyśliłam się, że coś zaszło. A gdym weszła do pokoju Wielebnej Matki, wiedziałam, co mi powie, nim przemówiła.

— Mary — rzekła — z bólem serca muszę ci powiedzieć, iż twoja matka jest chora.

Słuchałam w milczeniu, lękając się usłyszeć coś jeszcze gorszego.

— Jest bardzo chora i pragnie cię widzieć! Musisz więc jechać do domu natychmiast.

Wybuchnęłam płaczem, a Wielebna Matka zaczęła mnie pieścić i pocieszać, mówiąc, że moja matka żyła, jak dobra chrześcianka, i może z ufnością oczekiwać Łaski Zbawiciela. Potem dodała, widocznie wiedząc, jakie było moje położenie w domu, że cokolwiek się stanie, mam wracać do klasztoru.

— Powiedz swemu ojcu, że *pragniesz* tu wrócić — rzekła i objaśniła mi, w jakich warunkach odbędę podróż.

Miałam jechać sama paryskim ekspresem, odchodzącym do Rzymu o 6-ej wieczorem. Matka Nowicyuszek miała mnie wsadzić do sypialnego wagonu i polecić opiece konduktorów aż do Calais, gdzie Ojciec Dan miał mnie oczekiwać.

Płakałam dzień cały; pamiętam jednak, że gdy wszyscy w klasztorze okazywali mi wiele współczucia, doznawałam szczególniejszego rodzaju wrażenia, jakgdyby spotkała mnie jakaś godność, wyróżniająca mnie z pomiędzy moich koleżanek.

O piątej zajechał omnibus klasztorny i siedziałam już w nim, gdy nadbiegła Mildred zadyszana, mówiąc, że Wielebna Matka pozwoliła jej odwieźć mnie na stacyę.

W pół godziny potem siedziałyśmy obie w przedziale sypialnych wagonów, podczas gdy Matka rozmawiała z konduktorem na peronie. Mildred z oczyma pełnemi łez mówiła mi coś o sobie i o swoich zamiarach na przyszłość. Miała wkrótce opuścić klasztor. Była uboga sierotą i najchętniej zostałaby zakonnicą. Bądź co bądź, drogi nasze były tak odmienne, że zapewne nie spotkamy się już nigdy, ale gdyby...

Nie dokończyła, bo na peronie ozwał się dzwonek i w chwilę potem pociąg wyruszył ze stacyi.

Teraz dopiero zaczęłam odczuwać doniosłość ciosu, jaki mnie dotknął. Siedziałam sama w przedziale; cała Kampania płonęła w złocistej glorji zachodu, lecz w mojej duszy i dokoła mnie uczyniło się ciemno, jak w grobie.

Rozdział XIV.

Wczesnym rankiem w Wielki Piątek przybyłam do Calais. Było chłodno i wietrzno, a nad kanałem leżała gęsta mgła.

Nim jeszcze pociąg stanął, ujrzałam Ojca Dana na peronie. Był ogromnie wzruszony, choć starał się panować nad sobą.

— Tylko się nie martw, moje dziecko, tylko się nie martw — rzekł po przywitaniu. — Wszystko będzie do... Ale jak ty doskonale wyglądasz! Jak wyrosłaś! To się dopiero ucieszy twoja biedna mama, gdy cię zobaczy!

— To mama...

Więcej wykrztusić nie mogłam.

— Tak... żyje, Bogu dzięki, a póki życia, póty nadziei.

Wsiedliśmy natychmiast na parowiec i przybyliśmy do Blackwater o siódmej tegoż wieczora. Tam zdążyliśmy na pociąg, bo koleje istniały już w Ellanie, a ich szary tor wrzynał się w doliny, niby brzydki płaz, szpecący swojem ciężkiem cielskiem ich wdzięczną zieleń.

Na stacyi czekał powóz, a lokaj, którego twarz była mi obcą, wzruszył ramionami w odpowiedzi na wyszeptane przez Ojca Dana pytanie, z czego wywnioskowałam, że w

stanie mojej matki nie zaszła żadna zmiana.

Przybyliśmy do domu o zmroku, właśnie w chwili, gdy zapalano rząd nowych elektrycznych lamp w alei, w której dawniej bywało tak ciemno.

Ciotka Brygida oczekiwała nas w hallu, a gdy Ojciec Dan, coraz bardziej zaniepokojony, spytał, ją, jak się miewa moja matka, odrzekła:

— Gorzej, znacznie gorzej; nie poznaje nikogo; szkoda tylko tego całego kosztu i ambarasu.

Prawie nie przywitawszy się z ciotką, pobiegłam na górę i tak, jak byłam, w podróżnem ubraniu wślizgnęłam się cichutko do pokoju mojej matki.

Pamiętam to duszne, dziwne powietrze, jakie mnie na wstępie owionęło. Pamiętam, że pokój wydał mi się niższym i mniejszym, niż dawniej. Pamiętam wielkie łoże na filarkach, i moje własne łóżeczko, stojące wciąż przy niem na tem samem miejscu, jak w czasie mego dzieciństwa.

Jakaś obca kobieta zwróciła się ku mnie, gdym weszła, ale ja szukałam oczyma mojej matki, bo w pierwszej chwili nie mogłam jej dostrzedz, tak wyglądała nikło i blado, leżąc z zamkniętemi oczyma na tem wielkiem, białem łożu.

Wnet potem nadszedł Ojciec Dan, a za nim doktór Conrad, wreszcie mój ojciec bez surduta i z piórem zatkniętem za uchem, co mnie szczególnie utkwiło w pamięci.

Ojciec Dan wziął mnie za rękę i pochyliwszy się nad moją matką, rzekł cicho ale bardzo wyraźnie:

— Córko! córko moja! Nasza mała Mary jest tutaj. Przyjechała odwiedzić cię.

Nie zapomnę nigdy tego, co potem nastąpiło. Matka moja rozwarła zwolna powieki i popatrzyła na mnie jakby przez sen. Nagle wielkie jej oczy poczęły gorzeć, jak żużle, uniosła się na łóżku (choć przedtem ręką nawet o własnej sile poruszyć nie mogła), wyciągnęła do mnie ramiona, i zawołała silnym głosem:

— Mally! Moja Mally ukochana!

Padłam jej w objęcia i pozostałyśmy tak, splecione uściskiem, bardzo długo. Wreszcie usłyszałam ponad moją głową głos Ojca Dana, przemawiającego do niej, jak do dziecka:

— Szczęśliwą jesteś teraz, moja córko?

— O! tak! tak! bardzo szczęśliwą — odpowiedziała moja matka.

— Masz wszystko, czego pragnęłaś?

— Wszystko — wszystko!

Tu ozwał się głos mego ojca:

— Widzisz, Izabelo, masz swoją jedynaczkę. Chciałaś ją widzieć, więc posłaliśmy po nią.

— Jesteś bardzo dobry, Danielu, — odrzekła moja matka, całując mnie i płacząc z radości.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że Ojciec Dan i doktór Conrad szepcą pomiędzy sobą z oznakami zdumienia i uradowania.

— Widziałeś pan? — mówił Ojciec Dan. — Na kolanach byłbym poszedł do Blackwater, żeby ten cud u Najwyższego wymodlić.

— Nigdybym nie był uwierzył w możliwość czegoś podobnego — odpowiedział doktór. — Teraz będzie najlepiej, jeżeli ją zostawimy w spokoju... Życie zdaje się, jakby wracało, jednakże...

— Tak, zostawimy je obie — dorzucił Ojciec Dan i, zapędziwszy wszystkich ku drzwiom, wyszedł ostatni na palcach, jakgdyby stąpał po poświęcanej ziemi.

Wówczas moja matka rzekła:

— Opowiedz mi wszystko, co się stało.

Nie dałam sobie powtarzać tego dwa razy i zaczęłam jej mówić o mojem życiu w klasztorze, o Wielebnej Matce i zakonnicach, a ona słuchała, trzymając moją rękę i raz po raz przykładając ją do ust. Stopniowo jednak oczy jej przymykały się, a dłoń zwilgotniała i poczęła sztywnieć. Nie zauważyłam tego, aż ona rzekła:

— Czy to się już ściemnia, Mary?

Odpowiedziałam, że jest już noc i lampa się pali.

— Więc gaśnie? — zapytała, a gdym zaprzeczyła, wydało mi się, iż nie słyszy. Wtedy przestałam mówić i czas jakiś panowało milczenie, przerywane jedynie tykotaniem zegara na kominku i chrapliwym oddechem mojej matki.

Zaczęło mi być czegoś straszno, gdy wtem weszła pielęgniarka. Weszła z wypogodzoną twarzą, lecz spojrzawszy na moją matkę, cofnęła się żywo i powróciła wnet z doktorem Conradem i Ojcem Danem.

Słyszałam, jak doktór mówił coś, że zaszła zmiana, poczem Ojciec Dan wyszedł pośpiesznie, a w pokoju uczynił się ruch. Pielęgniarka chciała mnie wyprowadzić, lecz doktór rzekł:

— Nie, nasza Mary będzie mężną — i odwiódłszy mnie na stronę, powiedział mi, że Bóg przysyła po moją matkę i że powinnam zachowywać się spokojnie i nie płakać.

Nawpół rozebrana wsunęłam się do mego łóżeczka i leżałam cichutko z jakie pół godziny, podczas gdy doktór trzymał wciąż matkę moją za puls, a pielęgniarka nakryła stół białym obrusem i postawiła na nim kilka zapalonych świec.

Pamiętam, jak myślałam, że jeżeli „przysłanie po moją matkę" znaczyło, iż włożą ją do czarnej skrzyni i zakopią w ziemię, to było to rzeczą straszną i okrutną, i że może Najświętsza Panna, gdy Ją o to poproszę, wstawi się do Pana Boga, by tego nie czynił. I właśnie zaczęłam odmawiać litanię do Matki Boskiej, gdy pielęgniarka rzekła:

— Już idą.

Usłyszałam liczne stąpania na dworze i, pobiegłszy na palcach do okna, zobaczyłam gromadkę ludzi z Ojcem Danem pośrodku. Ojciec Dan miał zsunięty płaszcz z ramion i niósł w obu rękach coś białego, a ludzie świecili mu pochodniami.

Domyśliłam się, że to niosą Przenajświętszy Sakrament dla mojej matki. Wnet potem Ojciec Dan już w samej komży wszedł do pokoju ze słowami: „Pokój temu domowi" i położył białe pudełeczko na stole.

Wówczas wszyscy domownicy — wszyscy, wyjąwszy mego ojca — zgromadzili się w pokoju i poklękali przy drzwiach.

Ojciec Dan przemówił znów do mojej matki, a gdy otworzyła oczy, począł czytać. Chwilami łkanie przerywało mu głos, jakgdyby płynący z cierpiącego ludzkiego serca, a chwilami głos ten brzmiał uroczyście i donośnie, jakgdyby dusza księdza przezeń mówiła.

Po Komunii dał mojej matce Oleje święte, namaszczając jej słodkie oczy, które nie widziały nic złego, jej ukochane usta, które nie wymówiły nigdy grzesznego słowa, i jej stopy, które chodziły zawsze ścieżkami Pana.

Przez cały ten czas w domu panowała uroczysta cisza, jak w kościele, tylko z pokoju na dole dolatywało miarowe stąpanie mego ojca, a gdzieś z oddali stłumiony szum morza.

Gdy już było po wszystkiem, matka moja uczuła się jakby rzeźwiejszą i rzekła.

— A teraz wszyscy musicie iść spać. Mary i ja damy sobie same radę doskonale.

I znowu zostałyśmy same we dwie, a wtedy moja matka zawołała mnie do swego łóżka i objęła mnie ramionami, a ja leżałam z twarzą ukrytą na jej szyi.

To, co potem nastąpiło, wydaje mi się czemś zbyt świętem, by o tem pisać, niemal zbyt świętem, by o tem módz myśleć; a przecież wszystko to stoi mi w pamięci tak żywo, jakgdyby to było wczoraj, podczas, gdy tyle innych wydarzeń mego życia utonęło w oceanie rzeczy minionych i zapomnianych.

— Słuchaj, kochanie, — przemówiła moja matka — słuchaj, co ci powiem. — I zaczęła szeptać, że słyszała wszystko, co jej opowiadałam o klasztorze, i że przyszło jej na myśl, czy nie chciałabym zostać tam na zawsze, jako jedna z tych świętych i dobrych zakonnic.

Musiałam odpowiedzieć przecząco, bo ciągnęła dalej, mówiąc, że kobiecie bardzo ciężko bywa na świecie, że ona tego sama na sobie doświadczyła.

— Nie, żeby w tem było coś z winy twego ojca, nigdy tak nie myśl, Mary, jednakże...

Ale łzy polały jej się z oczu i nie pozwoliły jej dokończyć.

Ja przecież nie zdawałam sobie jeszcze dokładnie sprawy z istotnego stanu rzeczy, bo zaczęłam coś mówić, że zostanę zawsze przy niej; a wtedy ona z nieopisaną słodyczą powiedziała mi, że musi mnie opuścić, bo idzie do Nieba, ale nie przestanie myśleć tam o mnie wciąż, i jeżeli Bóg pozwoli, będzie się mną opiekować zawsze.

— Widzisz więc, kochanie, że naprawdę to nie rozłączamy się nigdy. Będziemy zawsze razem. Głos jakiś mówi mi, że gdziekolwiek będziesz, cokolwiek się z tobą stanie, zawsze o tem wiedzieć będę.

To pocieszyło mnie i pocieszyło moją matkę, choć Bóg jeden wie, że nie byłoby tak, gdyby jej umierające oczy mogły były widzieć, jaka przyszłość czekała jej dziecko.

Prosiła mnie również, bym czasem odmówiła za nią *De profundis* i myślała o niej zawsze, gdy będę śpiewać hymn do Najświętszej Panny. A potem ucałowała mnie i kazała spać, mówiąc, że i ona uśnie także, a gdyby się okazało, że to już będzie sen wieczny, żebym się nie martwiła, bo połączymy się znowu, „a czas rozłąki szybko minie".

— Dobranoc zatem, kochanie moje, i niech cię Bóg błogosławi.

— Dobranoc, mateczko, — odpowiedziałam.

. . . . . .

Gdym, zasnąwszy głębokim snem dzieciństwa, zbudziła się nazajutrz, było już południe i słońce świeciło jasno. Doktór Conrad podnosił mnie z łóżka, a Ojciec Dan mówił drżącym głosem:

— Twoja mateczka poszła do Boga.

Zaczęłam płakać, lecz on rzekł:

— Przestań, nie przywołuj jej... Ona jest w drodze do Raju po wszystkich swoich cierpieniach. Więc niech idzie w spokoju.

I tak straciłam Ją, moją matkę, moją świętą, mego Anioła!

Rozdział XV.

Po śmierci matki nie było już dla mnie miejsca w domu mego ojca.

Betsy (którą nazywano teraz miss Betsy i która bardziej, niż kiedykolwiek, odgrywała rolę córki domu) uczyła się przy nauczycielce, którą do niej przyjęto, a resztę czasu stroiła się i jeździła w sąsiedztwo z wizytami.

Nessy Mac Leod, nazywana młodą panią, została sekretarką mego ojca i całemi dniami przesiadywała w jego gabinecie, co przewróciło jej do reszty w głowie.

Jurka nie widziałam, bo w nagrodę za pilną naukę doktór pozwolił mu spędzić Wielkanocne ferye w Londynie, by mógł zobaczyć statek Nansena *„Fram"*, który właśnie przybył.

Wszystko to razem wzięte sprawiło, że choć dom zachował dla mnie pewien urok wspomnień i choć niejednokrotnie zapędzałam się do gabinetu ojca, by wejść i powiedzieć mu: „Ojcze, proszę cię, nie odsyłaj mnie do klasztoru", pogodziłam się łatwo z moim losem, gdy w jakiś tydzień po pogrzebie ciotka Brygida zaczęła czynić przygotowania do mego wyjazdu.

Wróciłam więc do klasztoru, gdzie Wielebna Matka przyjęła mnie z otwartemi rękoma.

— Wiedziałam, że wrócisz do mnie — rzekła i od tej chwili zacna kobieta starała się zastąpić mi utraconą matkę.

Przywiązałam się do niej serdecznie, przejęłam się jej duchem, i zwolna religijna strona klasztornego życia opanowała mnie w zupełności.

Mijały lata i nic nie mąciło tego mego nastroju. Ojciec nie wzywał mnie nigdy do domu, a gdy nadchodziły wakacye, Wielebna Matka zabierała mnie do swej wilii w Nemi.

Piękna to była miejscowość, o jakieś dwadzieścia kilometrów od Rzymu, u stóp Monte Carlo położona. Był tam starożytny zamek i klasztor i małe,błękitne jeziorko, błyszczące, jak szafir wśród zieleni łąk i purpury kwitnących w dolinie maków.

Latem ze ścian białego domku Wielebnej Matki buchały, jak z kadzielnic, wonie kapryfolium; po winnicach pięły się dzikie róże; zielone jaszczurki biegały w słońcu po skałach, a ja czułam się zupełnie szczęśliwą.

Z domu miewałam częste wieści. Czasem Betsy pisała, donosząc o balach, na jakich tańczyła z młodym lordem Raa, i o polowaniach, w jakich brała udział przy jego boku. Rzadziej odzywała się ciotka Brygida, rozpoczynając zawsze od skarg na rosnące wciąż wydatki na moją klasztorną garderobę, a kończąc opisem najświeższych sukien swojej córki.

Ojciec nie pisał nigdy, jak również Nessy Mac Leod, ale najgorliwszym moim korespondentem był Ojciec Dan.

On donosił mi o wszystkiem. Więc naprzód o moim ojcu i jego przedsiębiorstwach, które rozwijały się świetnie, aczkolwiek zacny kapłan nie zachwycał się temi nowościami, napomykając, iż o ile były one korzystne dla kieszeni mieszkańców Ellanu, o tyle wywierały ujemny wpływ na ich pobożność.

Dalej, o ciotce Brygidzie, że wychowuje córkę w światowej próżności i grzeje żmiję na łonie (co oznaczało Nessy Mac Leod), która kiedyś jadem swym zatruje jej serce.

Dalej o Jurku Conradzie, że się kształci w kolegium „na doktora", lecz wciąż marzy o biegunie północnym i eksploracyach.

Wreszcie o młodym lordzie Raa, że tego człowieka musiał opętać szatan, bo, po wydaleniu go z Oksfordu, pędzi hulaszcze życie w Londynie, a jego opiekun twierdzi, że o ile nie ożeni się bogato, to całe jego dziedzictwo zabiorą wierzyciele.

Taka była treść wiadomości, dochodzących mnie w przeciągu sześciu lat; witałam zawsze z radością listy Ojca Dana, lecz to wszystko, o czem mi pisał, coraz obojętniejszem mi się stawało. Świat zewnętrzny bladł i niknął stopniowo z przed moich oczu, utkwionych wyłącznie w duchowej stronie życia.

DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

A. WIERBICKA. *„Nowym torem"*. (Romans nauczycielki). Z upoważnienia autorki tłómaczyła Zofia Rysińska.

Powieść ta nie powinna była zjawić się w przekładzie polskim, choć p. Wierbicka jest jedną z poczytniejszych autorek rosyjskich. Bo i co za sens ma „romans" tej nauczycielki? jaką artystyczną wartość posiada ta kiepsko sklecona powieść? Społecznie jest ona szkodliwą a literacko niedołężną. Dla publiczności polskiej psychologia takich ekscentrycznych środowisk będzie zupełnie niezrozumiałą. Powieść ta bowiem powstała z tak zwanej zasadniczości rosyjskiej i może być interesującą dla studentów i demagogów.

„Myśl Polska", miesięcznik, poświęcony sprawom politycznym, społecznym i literacko-artystycznym, pod redakcyą d-ra fil. WACŁAWA ORŁOWSKIEGO.

Pierwszy zeszyt „Myśli Polskiej" przedstawia się bardzo estetycznie i zawiera prace takich pisarzy, jak: Rzymowski, Zdziechowski, Krasuski, Daniłowski, Irzykowski, Wasilewski (Leon), Brun, Kurnatowski, Studnicki i inni. „Myśl Polska" nie jest pismem partyjnem, broni jednak naszego „narodowego indywidualizmu". Z pośród artykułów wyróżniają się doskonałem opracowaniem szkice p. Bruna, wyjątek Zdziechowskiego, artykuł Krasuskiego. Pięknie też jest pisana praca Rzymowskiego, lecz, jako nawskroś apriorystyczna, razi upraszczaniem wszelkich zagadnień życiowych i literackich.

LEON CHOROMAŃSKI. *„Firlejе"*. Piosnki Momusowe.

Interesujący zbiorek swoich piosnek z repertuaru byłego Momusa dał nam p. Leon Choromański, który już jako nowelista zdobył sobie uznanie krytyki. Szkice jego literackie budzą też zawsze zainteresowanie dla wielu cennych uwag, któremi szafuje Choromański. Nie widzi on wprawdzie rzeczy zasadniczych, ale zato dostrzega niedostępne dla innych subtelne drobnostki. W piosnkach jego też góruje ta delikatna spostrzegawczość. Może niekiedy są one zbyt... drastyczne, ale zawsze bawią i miłe wpadają w ucho. Dosyć powiedzieć, że najlepsi „momusowi" śpiewacy i deklamatorzy, jak: Lubelski, Pawłowski, Trojanowski, Małkowski, Mrozińska, ubiegali się o nie, włączali do swoich repertuarów.

„Leonardo da Vinci". Pisma wybrane. Tomów 2. Wybór, układ, przekład i słowo wstępne LEOPOLDA STAFFA.

Poeta rzeźbionych i natchnionych sonetów (Kowal), Leopold Staff, już jako